

o kwestie religijne, ludzie winni są wszelkich możliwych krętałów i wszelkiej swawoli intelektualnej. Filozofowie naciągają znaczenie słów, aż te tracą bez mała cały swój pierwotny sens, stworzoną przez siebie mętną abstrakcję określają mianem „Boga” i paradują przed całym światem jako deiści, wierzący, chełpiąc się, że pojęli wyższe, bardziej czyste pojęcie Boga, mimo że ich Bóg jest tylko wyczutym z istoty cieniem, a nie potężną osobistością z doktryn religijnych. Krytycy obstają przy tym, by uznawać za „głęboko religijnego” człowieka, który publicznie przyznał się do swej ludzkiej małości i bezsilności, chociaż nie to stanowi o istocie religijności, lecz dopiero następny krok – reakcja na to, poszukiwanie w obliczu takiego poczucia jakiegoś remedium. Kto nie posuwa się dalej, kto poprzestaje na odgrywaniu pośledniej roli człowieka w wielkim świecie, ten jest raczej areligijny w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa.

Nie leży w planach tego studium zajmowanie stanowiska w kwestii prawdziwości doktryn religijnych. Wystarczy nam rozpoznanie ich psychologicznej natury złudzenia. Nie musimy jednak tać, że odkrycie to w znacznym stopniu wpłynęło także na nasz stosunek do sprawy, która wielu ludziom musi się jawić jako najważniejsza. Wiemy ogólnie, w jakich czasach stworzono doktryny religijne i jacy ludzie to uczynili. Jeśli jeszcze dowiemy się, z jakich pobudek, to nasze stanowisko w kwestii religij-

nej znacznie się zmieni. Powiadamy sobie, że przecież pięknie by było, gdyby istniał Bóg jako stwórca świata i dobrotliwa Opatrzność, moralny ład świata i życie pozagrobowe, ale przecież rzuca się nam w oczy, że to wszystko tak wygląda, jak sobie tego życzymy. Byłoby jeszcze dziwniejsze, gdyby całą tę trudną zagadkę świata udało się rozwiązać naszym biednym, nieuczonym, zniewolonym praprzodkom.

VII

Gdy rozpoznaliśmy doktryny religijne jako złudzenia, powstaje od razu następne pytanie, czy inne wysoko przez nas cenione zasoby kulturowe też nie mają podobnej natury. Czy więc nie powinniśmy określić mianem złudzeń naszych instytucji państwowych, czy relacje między płciami w naszej kulturze nie są zmaćnione przez jakieś złudzenie erotyczne lub przez więcej takich złudzeń? Skoro bowiem już raz wezbrała w nas podejrzliwość, nie cofniemy się też przed zapytaniem, czy nasze przekonanie, że dzięki zastosowaniu w pracy naukowej obserwacji i rozumowania możemy się czegoś dowiedzieć o rzeczywistości zewnętrznej, ma jakieś solidniejsze uzasadnienie? Nic nie powinno nas powstrzymywać przed samoobserwacją i przed stosowaniem myślenia gwoli krytyki jego samego. Otwiera się tu perspektywa przeprowadzenia całej serii badań,

których wynik musiałby być decydujący dla budowy jakiegoś „światopoglądu”. Przeczujemy też, że taki wysiłek nie pójdzie na marne i że przynajmniej częściowo usprawiedliwi naszą nieufność. Autor jednak, zważywszy na swe możliwości, wzbrania się przed podjęciem tak szeroko zakrojonego zadania, toteż z konieczności ogranicza swą pracę do prześledzenia tylko pewnych złudzeń, właśnie złudzeń religijnych.

Przeciwnik jednak wielkim głosem wzywa nas, byśmy się zatrzymali, byśmy zdali sprawę z tego, że ważymy się na coś zabronionego, i tak powiada:

„Owszem, zainteresowania archeologiczne są godne pochwały, aliści nie wszczyna się prac wykopaliskowych tam, gdzie mieszkają żywi ludzie, nie podkopuje się ich siedlisk, gdyż mury mogą runąć i pogrzebać mieszkańców. Doktryny religijne nie są przedmiotem ludzkiego mędrkowania jak cokolwiek innego. Opiera się na nich nasza kultura, zachowanie zaś społeczeństwa ludzkiego wymaga, by większość wierzyła w ich prawdziwość. Jeśli wpoi się ludziom, że nie ma wszechmocnego i najsprawiedliwszego Boga, że nie istnieją boski ład świata ani życie przyszłe, to ludzie poczną się zwolnieni z obowiązku wypełniania nakazów kultury. Niczym nie hamowany i wolny od lęku, każdy zacznie folgować swym społecznym i egoistycznym popędom, zacznie szukać potwierdzenia swej władzy, a wtedy powróci chaos, który w toku trwającej wiele tysięcy lat pra-

cy kultury zdołaliśmy okiełznać. Nawet gdybyśmy wiedzieli i umieli wykazać, że religia nie znajduje się w posiadaniu prawdy, powinniśmy zamilczeć i tak się zachowywać, jak tego żąda od nas filozofia «jak gdyby». W interesie przetrwania nas wszystkich! Abstrahując zaś od ryzyka, jakie pociąga za sobą to przedsięwzięcie, jest ono też bezcelowym okrucieństwem. Niezliczone rzesze znajdują w doktrynach religijnych jedyną pociechę, tylko dzięki nim mogą znieść życie, tymczasem tu pojawia się próba zrabowania im ich podpory, i to bez zastąpienia jej czymś lepszym. Przecież przyznano, że dzisiejsza nauka nie może się poszczycić wielkimi dokonaniem, ale nawet gdyby była znacznie bardziej zaawansowana, nie wystarczyłaby człowiekowi, ma on bowiem jeszcze inne potrzeby imperatywne, których zimna nauka nigdy nie zaspokoi. Dlatego wydaje się osobliwe, a nawet jest to szczyt niekonsekwencji, że psycholog, który zawsze podkreślał, jak bardzo w życiu człowieka inteligencja ustępuje życiu popędowemu, teraz usiłuje pozbawić człowieka cennego zaspokojenia życzenia, w zamian proponując mu strawę intelektualną”.

Ileż oskarżeń naraz! Jestem jednak przygotowany na to, by odeprzeć je wszystkie, poza tym będę zdania, że większe niebezpieczeństwo dla kultury stanowi podtrzymywanie jej dzisiejszego stosunku do religii niż zerwanie go. Tyle że nie bardzo wiem, od czego mam zacząć swoją refutację.

Może od zapewnienia, że osobiście uważam swoje przedsięwzięcie za całkowicie nieszkodliwe i niegroźne? Trudno mnie oskarżać o przecenianie intelektu. Jeśli ludzie są tacy, jakimi opisują ich moi przeciwnicy – nie mogę temu przeczyć – to nie ma ryzyka, że ktoś pobożny, przytłoczony moimi wywodami, pozwoli się odciągnąć od swej wiary. Poza tym nie powiedziałem nic innego prócz rzeczy, które inni, lepsi powiedzieli przede mną, i to w sposób znacznie pełniejszy, bardziej dobitnie i sugestywnie. Ich imiona są znane; nie przywołuję ich, by nie sprawiać wrażenia, że chcę stanąć w ich szeregu. Ja tylko – i to jest jedyna nowość w moim ujęciu – uzupełniłem krytykę moich wielkich poprzedników o pewne uzasadnienie psychologiczne. Trudno oczekiwać, że właśnie ono da rezultaty, jakich inni nie osiągnęli. Owszem, można by teraz zadać mi pytanie, po co wobec tego piszę takie rzeczy, skoro jestem pewien ich nieskuteczności. Do tej kwestii wrócimy jednak później.

Jedynym, kto w wyniku tej publikacji może ponieść szkodę, jestem ja. Będę musiał wysłuchać nader przykrych zarzutów o płytkość, nudziarstwo, brak idealizmu i zrozumienia dla najwyższych zainteresowań ludzkości. Ale z jednej strony zarzuty te nie są dla mnie nowe, z drugiej zaś, jeśli człowiek już za młodu wystawił się na niezadowolenie współczesnych, to cóż znaczy to dlań w późnym wieku, kiedy wie, że już wkrótce będzie z dala od wszelkiej łaski

i niełaski? Dawniej było inaczej; wtedy można było być pewnym, że wskutek takich wypowiedzi skróci się ziemski żywot autora, dzięki czemu będzie mógł on szybciej zweryfikować swoje poglądy na życie pozagrobowe. Ale – powtarzam – czasy te minęły, dziś zaś taka pisanina nie jest niebezpieczna nawet dla jej autora, który ryzykuje najwyżej, że w tym czy innym kraju jego książka nie zostanie przetłumaczona i nie będzie jej można rozpowszechniać. Oczywiście w kraju pewnym wysokiego poziomu swej kultury. Skoro jednak ktoś opowiada się za rezygnacją z życzeń i za poddaniem się losowi, to musi umieć znieść także te szkody.

Potem zadałem sobie pytanie, czy publikacja tej pracy nie wyrządzi szkody jeszcze komuś. Może nie osobie, lecz sprawie – sprawie psychoanalizy. Nie sposób przecież zaprzeczyć, że to ja ją stworzyłem i że okazano jej wiele nieufności i złej woli; jeśli więc teraz występuję z tak niemiłymi wypowiedziami, ludzie będą aż nazbyt skorzy dokonać przesunięcia z mojej osoby na psychoanalizę. Teraz widać, powiedzą, dokąd wiedzie ta cała psychoanaliza. Maszka spadła; do negacji Boga i ideału moralnego, jak zresztą od początku się spodziewaliśmy. Abyśmy tego nie odkryli, mamiono nas zapewnieniami, że psychoanaliza nie wyznaje żadnego światopoglądu i że nie może go stworzyć.

Wrzawa ta będzie mi faktycznie niemiła, to zaś z powodu mych współpracowników, wśród których

wielu w ogóle nie podziela mojego nastawienia do kwestii religijnych. Psychoanaliza oparła się jednak już wielu burzom, toteż trzeba ją wystawić i na tę nową. W rzeczywistości psychoanaliza jest metodą badawczą, bezstronnym narzędziem, takim jak choćby rachunek różniczkowy. Jeśli fizyk za pomocą tego właśnie rachunku stwierdzi, że po pewnym czasie Ziemię czeka zagłada, to przecież zawahamy się przed przypisaniem samemu rachunkowi tendencji destrukcyjnych i nie będziemy go z tej racji lekceważyć. Nic z tego, co w niniejszej rozprawie powiedziałem na niekorzyść prawdziwości religii, psychoanalizie nie jest potrzebne – to samo powiedzieli już inni na długo przed jej powstaniem. Jeśli ze stosowania metody psychoanalitycznej można zrobić nowy argument przeciwko zawartości prawdy w religii, *tant pis* [tym gorzej] dla religii, ale jej obrońcy mają to samo prawo posłużyć się psychoanalizą w celu waloryzacji afektywnego znaczenia doktryn religijnych.

A teraz kontynuujmy obronę: religia bez wątpienia oddała kulturze ludzkiej wielkie zasługi, wniosła duży, choć niewystarczający wkład w dzieło pętania popędów społecznych. Przez tysiąclecia panowała nad społeczeństwem ludzkim, miała wystarczająco dużo czasu, by pokazać, do czego jest zdolna. Gdyby udało się jej uszczęśliwić, pocieszyć, pogodzić z życiem większość ludzi, uczynić ich krzewicielami kultury, nikomu nie przysłoby do głowy zmieniać

istniejące stosunki. Tymczasem cóż w zamian widzimy? Przerażająco wielu ludzi jest niezadowolonych z kultury; żyjąc w niej, czują się nieszczęśliwi, widzą w niej jarzmo, które należy zrzucić; angażują wszystkie swe siły gwoźli zmienienia tej kultury albo posuwają się w swej wrogości do niej tak daleko, że w ogóle nie chcą słyszeć ani o kulturze, ani o ograniczeniu popędów. W tym miejscu spotkamy się z zarzutem, że stan ten bierze się właśnie stąd, iż religia straciła częściowo wpływ wywierany niegdyś na masy ludzkie, i to wskutek pożałowania godnych postępów nauki. Zakarbujemy sobie w pamięci to oświadczenie wraz z uzasadnieniem w celu jego późniejszej oceny pod kątem naszych zamiarów, sam jednak zarzut jest bezpodstawny.

Twierdzenie, że w epoce nieograniczonego panowania doktryn religijnych wszyscy ludzie byli szczęśliwsi niż dzisiaj, wydaje się wątpliwe; z pewnością nie prowadzili się bardziej moralnie. Zawsze natomiast umieli sprowadzać nakazy religijne do form czysto zewnętrznych, a w ten sposób niweczyli zamiary, jakie tym nakazom przyświecały. W działaniu tym przychodzili im w sukurs kapłani, do których należało czuwanie nad okazywaniem religii posłuszeństwa. Sprawiedliwość Boga musiała liczyć się z jego dobrocią; człowiek grzeszył, składał ofiary lub czynił pokutę, po czym czuł się wolny i grzeszył od nowa. Duchowość rosyjska zdobyła się nawet na pogląd, że grzech jest nieodzowny

gwoli pełnego kosztowania owoców bożej Łaski, przeto w gruncie rzeczy jest dziełem miłym Bogu. Wiadomo, że kapłani mogli utrzymać masy w posłuszeństwie wobec religii tylko za cenę poważnych ustępstw na rzecz popędowej natury człowieka. I na tym stało: tylko Bóg jest silny i dobry – człowiek zaś słaby i grzeszny. We wszystkich epokach niemoralność znajdowała w religii nie mniejsze wsparcie niż moralność. Jeśli więc dokonania religii na rzecz uszczęśliwienia ludzi, przysposobienia ich do kultury i ograniczenia moralnego nie należą do najlepszych, to powstaje pytanie, czy aby przypadkiem nie przeceniamy ich nieodzowności dla rodu ludzkiego i czy mądrze postępujemy, opierając na nich wymagania naszej kultury.

Zważmy na sytuację obecną, zupełnie jednoznaczną. Słyszeliśmy wyznanie, że religia nie ma już takiego wpływu na ludzi jak wcześniej. (Chodzi mi o kulturę europejsko-chrześcijańską). Stało się tak bynajmniej nie dlatego, że religia mniej obiecuje, lecz dlatego, że wydaje się ludziom mniej wiarygodna. Przyczyną tej przemiany leży tam, gdzie w górnych warstwach społeczeństwa ludzkiego okrzepł duch naukowy. (Być może nie jest to jedyna przyczyna). Krytyka nadszarpnęła siłę dowodową dokumentów religijnych, wiedza przyrodnicza wykazała tkwiące w nich błędy, studia komparatystyczne zwróciły zaś uwagę na fatalne podobieństwo czczonych przez nas wyobra-

żeń religijnych do wytworów ducha ludów i epok pierwotnych.

Duch naukowy stwarza pewien sposób odnoszenia się do rzeczy tego świata; przed sprawami religijnymi na chwilę się zatrzymuje, waha się, aby w końcu i w tym wypadku przekroczyć próg. W procesie tym nie ma ani chwili przerwy – im bardziej stają się dostępne dla ludzi skarby naszej wiedzy, tym bardziej szerzy się upadek wierzeń religijnych; zrazu dotyka on przestarzałych, odrażających przebrań, w jakie wierzenia te się stroją, zaraz jednak sięga również do ich fundamentalnych przesłanek. Jedynie Amerykanie, którzy w Dayton wszczęli „małpi proces”, okazali się konsekwentni. Gdzie indziej to nieuchronne przejście następuje za pomocą półśrodków i fałszu.

Ze strony osób wykształconych i humanistów kultura w zasadzie nie ma się czego obawiać. Zastąpienie w zachowaniu kulturowym pobudek religijnych przez inne, świeckie, dokona się gładko z ich strony, poza tym liczni pośród nich sami są krzewicielami kultury. Inaczej sprawa się ma z masami nie-wykształconych, uciśnionych, którzy wszyscy wspólnie mają powód być wrogami kultury. Dopóki nie dowiedzą się, że już nie wierzy się w Boga, dopóty wszystko będzie w porządku. W końcu się jednak dowiedzą, to pewne, nawet jeśli ta moja rozprawa nie zostanie opublikowana. I oni są skłonni uznać rezultaty myślenia naukowego, choć nie nastąpi

w nich przemiana, jaką wywołuje ono w człowieku. Czy nie zachodzi tu ryzyko, że wrogość tych mas wobec kultury skupi się na punkcie najmniejszego oporu, jaki rozpoznają one w swej ciemniznie? Jeśli bowiem nie wolno zabijać bliźniego tylko dlatego, że zabronił tego dobry Bóg, który w tym lub tamtym życiu surowo pomści zbrodnię, a człowiek dowiaduje się, że ten dobry Bóg nie istnieje i nie trzeba się lękać jego kary, to z pewnością bez wahania zabije bliźniego i tylko ziemską władza będzie go mogła przed tym powstrzymać. A więc albo możliwie najsurowsze trzymanie w ryzach tych niebezpiecznych mas, najściślejsze strzeżenie ich przed jakąkolwiek okazją do duchowego przebudzenia, albo gruntowna rewizja relacji między kulturą a religią.

VIII

Należałoby sądzić, że nie ma żadnych szczególnych przeszkód, aby wprowadzić w życie tę ostatnią propozycję. Owszem, pociągałoby to za sobą pewne straty, ale być może więcej by się zyskało i uniknęło większego niebezpieczeństwa. Panuje jednak obawa przed tym, tak jakby w ten sposób narażało się kulturę na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Kiedy święty Bonifacy ściął drzewo czczone przez Sasów jako święte, ludzie wokół spodziewali się,

że w wyniku tego bluźnierczego czynu stanie się coś strasznego. Nic się nie stało, a Sasi przyjęli chrzest.

Jeśli więc kultura wydała przykazanie, by nie zabijać znienawidzonego sąsiada, który stoi komuś na drodze lub którego dobytku ten ktoś pożąda, to najwyraźniej stało się tak w interesie wspólnego życia ludzi, które w przeciwnym razie byłoby niemożliwe. Morderca ściągnąłby bowiem na siebie zemstę rodziny zamordowanego i skrytą zawiść innych, również skłonnych popełnić taki akt przemocy. Morderca nie cieszyłby się więc długo zemstą lub posiadaniem zagrabionego mienia, sam miałby bowiem wszelkie widoki na to, że wkrótce padnie ofiarą mordu. Nawet gdyby nadzwyczajna siła i wielka przezorność uchroniły go przed pojedynczym przeciwnikiem, musiałby ulec zawiązaniu przez słabszych stowarzyszeniu. Gdyby zaś słabsi się nie zjednoczyli, mordowanie trwałoby bez końca, kres tego zaś przyszedłby dopiero po wymordowaniu się wszystkich nawzajem. Jednostki ludzkie żyłyby w stanie podobnym do sytuacji panującej jeszcze pośród rodów korsykańskich, a gdzie indziej już tylko między narodami. Przeto jednakie dla wszystkich zagrożenie niepewnego życia jednoczy teraz ludzi w społeczeństwo, które zabrania jednostce zabijania, zastrzegając sobie prawo wspólnego mordowania przekraczających ten zakaz. Są to wtedy sprawiedliwość i kara.